Nr. 21. We Lwowie dnia 26. maja 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KREW.

Na obłokach, hen się pali
Krasna zorza,
I odbija się wśród fali,
Wśród wód łoża
Krwią.

Zamku się czerwienią mury,
Jak korale,
Śniegi płoną od purpury
I na skale
Lśnią.

Czy to krew powstała z ziemi,
Tu wylana,
I głoskami płonącemi
Wzywa Pana
Sąd ?..

Nasza to krew ziemię zrasza,
Ach, krwi morze!
Nasza krew — więc ziemia nasza,
Miej, o Boże!
Wzgląd.

Nasi śpią tu snem wieczności
Praojcowie;
Niech więc złożą tu swe kości
I synowie
W grób.

Wszakże świadczą, te, co płoną
Zorze w dali,
Że my z ziemią tą rodzoną
Krwawy brali
Ślub.

Kamieniec *Janina Górska.*

O KRZYŻAKACH.

Przez

17) **Marję Konopnicką.**

I znaczyło to więcej, niżeli: „Bić w Niemca“. Znaczyło to opowiedzieć się przy prawdzie i sprawiedliwości, i walczyć i ginąć za nie, przeciw fałszowi, krzywdzie, okrucieństwu i obłudzie szczepu, który już wtedy chciał morzem rozlać się po słowiańskich ziemiach. Znaczyło to stanąć sercem i ramieniem przeciw zaborczej polityce Zakonu, który był „przednią teutońską strażą“, a o którym wiedziano, że „toczy wojny ku rozpostarciu swojej chciwości“.

Więc się tam burzyła dusza cała w tym narodzie, u którego i wojna etykę swą miała. Ba! Zbawiała nawet, jeśli ku pożytkowi „krześciaństwa“ i ku sławie ojczystej ziemi obróconą była.

— „Wojna z pohańcem? — woła Maćko — a to choćbyś miał najbezecniejszy grzech na duszy, odpust za taką wojnę i zbawienie pewne! A sława po wieki wieków“.

A insi:

— „Matki zawdy będą rodziły. A krwi nie szkoda, byle nie szła na marne“.

Teraz wszakże przyszły takie czasy, że to, co się mówiło o „pohańcu“, mówiło się i o Zakonie także.

Tylko co przewiał nad łężną równiną, w kwieciu, i w śpiewaniu, polny pogrzeb Danusi umęczonej. Tylko co wsiąknął w ogromne, jasne zachodowe zorze.

Tylko co padły na sądne szale krzywd dusz i ciał, owe dwie łzy przeraźliwe, które się zwolna zbierały w pustych, krwawych jamach, wykapanych Jurandowych oczu...

Z Brodnicy, z Chełmży, z Grudziądzu, po wsiach i po miastach, skrzypiały szubienice pod chłopskiemi trupami, a wieża złota w Marienburgu rosła, a uczty w Szczycieńskim zamku grzmiały, a z chrzczonej krwią i ogniem Żmudzi, bił straszny jęk: „Ratujcie, bo giniemy!“

Więc poczęło się wszystko ważyć, przechylać, kipieć, ku odwetowi mieć, ku pomście, ku wojnie. Ku wielkiej, wielkiej wojnie. Ku takiej wojnie, którąby wszystkie siły z Litwy i z Polski zebrała w jedność i razem uderzyła niemi w potęgę Zakonu.

A tak w całej krainie gorzały duchy, rosły serca i szczękały miecze.

Chwila jest taka właśnie, jaka przed burzą bywa. Jakieś głosy, jakieś szepty zmawiające się pomiędzy niebem, a ziemią, jakiś głuchy wark w powietrzu znojnem, ciężkiem, jakieś krótkie błyskawice dobytych tu i ówdzie mieczów. Król wstrzymuje wydanie hasła wojennego; ale siły zdarzeń, ale naporu ich następstw nikt nie wstrzyma. Pierwej niźli gorejące wici, latały po tem królestwie gorejące duchy, i gdzie to we śnie, gdzie na jawie, gdzie od ściany, na której zbroja wisiała, gdzie w głębi piersi rycerzy słyszane były wołające głosy:

— „Na koń! Na koń! Na koń!“

Z głęboką psychologiczną bystrością i prawdą podkłada Sienkiewicz pod tę chwilę wrzenia serc i umysłów, jakąś hardą, młodzieńczą butę, jakąś ogromną otuchę zwycięstwa. Spadła z piersi rycerstwa polskiego zmora „nieprzemożonej i srogiej mocy“, jaka biła „z olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów“. Ten Marienburg, „ex luto“ powstały, owionął dech rozkładu, z błota jego początków idący. Szeroko teraz, daleko szły głosy, że choć krzyżacka twierdza „sześć razy od Wawelu większa, Wawel ma przecież większe od niej serce“, a to w przenośni, użytej przez Zyndrama z Maszkowic, i bez przenośni także. Wiedziano i powtarzano sobie, „że każda twierdza zmienić może pana“. Że Zakon, to taki wielki, taki okrutny chojar, co zda się wiecznie stać będzie, „a stuknij w niego godnie, to ci się odezwie pustką i próchnem posypie“. — Wiedziano, że to jest rycerz olbrzymi postawą i straszny, „ale który ma poderzniętą popręgę u siodła i strzemion, więc musi się zwalić w szrankach przy pierwszem natarciu“. Przypominano też że „Hundsfeld, to takie pole, gdzie nikt nie mógł nadążyć grześć Niemców, aż ich psi grzebli“. A o potędze krzyżackiej mówiono:

— „Da Bóg wojnę, to ich wyżeniem!“

Więc prysnął urok mocy niezwyciężonej Zakonu, więc urosły na tych mowach serca w siłę i w nadzieję; a toć jest, co bije wpierw, niźli miecz uderzy. Urosły tak, że po prostu nie mogły się w piersiach pomieścić. I kipiały w mowach cichych i w mowach głośnych — jedną niecierpliwą żądzą. I uwierzył naród w siebie i w zwycięstwo, a to mu dało moc nadludzką prawie. I zapaliła się nad czołem narodu górna i jasna gwiazda jego losów, i porwała się „ku wielkości swojej dusza powszechna niepowstrzymanym pędem“, i uderzyła jak wichr i jak płomień we wszystkie zręby życia. I uczyniło się życie gorejącem i wichrzącem burzą, a tak nic już „wielkiej wojny“ powstrzymać nie mogło,

I tu jest najwyższy konflikt, i najwyższy moment dzieła. Tu bije puls dzieła, tu tchnie dusza jego.

Bo nie Danusia i Zbyszko, i nie Jagienka, i nie Maćko stary, i nie Jurand także są bohaterami tej Sienkiewiczowskiej księgi. Bohaterem jej jest „król-duch“, król-wódz ludu, rzucony w walkę prawie że śmiertelną, a zaś wychodzący z niej—silniejszym jeszcze. Wychodzący z niej tak silnym, jak samo życie ludu.

Bo dotąd i najbliżej nam do oczu kwieciła się wdzięczna młodość z miłowaniem swojem, ze swoją dolą i niedolą, a w dali tylko pogrzmiewała burza, mająca kwiecie to unieść i połamać.

Bo dotąd i najbliżej nam do oczu błyskały miecze w szrankach rycerskich, a w dali tylko huczały echa bojów, w których śmierć kośbę czyni.

Bo dotąd i najbliżej nam do oczu czerwieniła się męka pojedyńczych głów, a w dali tylko bił jęk ludów całych. Ale teraz jęk ten buchnął tuż, i zmienił się w krzyk przeraźliwy i nie do zniesienia. Teraz śmierć zamachła się kosą tak blisko, że słychać świst przeciętego nią powietrza i chrzęst padających pokosów. Teraz, nad samą głową stanęła nam czarna chmura, nawałnica, z której piorun bije.

Więc gdzie na kartach księgi były skry, tam jest pożar, a gdzie były łzy, tam jest krew, a gdzie były słowa, tam jej chrapliwy dech mocowania się śmierci i żywota.

A tak zaczyna bić nam pod ręką wielkie serce dzieła.

— „Nastają czasy, jakich dotychczas nie bywało“ — mówi uroczyście stary Maćko z Bogdańca.

A każdy z nas czuje dreszcz i war. Każdy czuje, że istotnie nastaje coś, czego jeszcze nie bywało.

Jakto — nie bywało? Po oblężeniu Zbaraża, po szturmie Częstochowy, po śmiertelnych bojach Podbipięty, Skrzetuskiego, „Pana Michałowych“?

Tak jest. Po nich wszystkich. Bo jeśli tamte boje były śmiertelne, ten jest nieśmiertelny.

Nieśmiertelny przez swój ogrom, przez moc swego natchnienia, przez prostotę swoją.

I tam grały „chorągwiane tęcze“ i tam „serca biły jak młoty“ i tam cięły miecze, bodły i kruszyły kości włócznie i tratowały kopyta końskie. I tam szli rycerze „w zgiełku i w ciasnocie, jak ogień idzie suchym stepem“. I tam „ciskały się w paszczę śmierci watahy coraz nowe“.

I tam była pogarda śmierci, upór męstwa i rzeki krwi.

Ale tu „dwadzieścia dwa narodów“ — walczy przeciw Polsce na bojowisku, które „wyznaczył Bóg“. Tu nie działa i nie harmaty biją, ale żelazne piersi i ramiona zwierają się z sobą i kruszą. Tu stanęły przeciw siebie wieczne wrogi, od zarania dziejów aż po dziś, tu wieczne siły poszły w bój na śmierć i na życie.

Straszna jest ta milcząca, złowroga równina bojowa, kiedy ją wiatr umiata pod trupy, co tutaj paść mają. Jeszcze na ziemi spokój, a w powietrzu toczy się walka między światłem a ciemnością, między słońcem a pędzonemi przez wicher chmurami, które wloką po ziemi mroczne swe całuny. „Straszna jest ta równina sądu, to pole puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne!“

I cisza ta jest straszna. Ta chwila groźnej ciszy, w którą wpada dech przyśpieszony stu tysięcy polskich piersi, i hamowany pęd, i rwanie się w bój koni, serc, mieczów, iż się już wszystko zrastało, zbłyskiwało w jeden grom i cios. Jeszcze nie widać nic. Jeszcze wichr po równinie chodzi, i umiata bojowisko narodów. A takie jest napięcie duchów, takie ogromne widzenie zwycięstwa w polskich zastępach, że kiedy wpada Ostojczyk na koniu kipiącym pianą i woła do króla: — „Niemce idą“! — ów, jakoby długiemu upragnieniu ludu całego stawało się zadość, i jakby dawne jakoweś przymierze z Bogiem się pełniło, odrzeka: „Pochwalony Jezus Chrystus“. A ów cisawczyk, „wybrany z tysięcy“ rwie się pod nim ptakiem. Lecz poseł ściga posła, a krzyk gromszy coraz: „Niemce! Niemce idą!“ I wyrósł, zaczerniał nagle nieprzesieczony bór krzyżactwa na równinie sądu, a co było czekania, co krzywdy, co łez, co nienawiści i pomsty, co mocy, rozpierającej piersi, to wszystko buchnęło w jeden war i płomień.

(Dok. nast.)

Z baśni ludowych.

Leży przedemną książeczka — malutka. Silniejszy powiew wiatru byłby nią wirował, jako i blado-różowym okwiatem jabłoni, który mi rzuca na papier. — Tytuł książeczki?... — „Sudilnici“*) — coś niby „Wieszczki“... — Imię autora? — Natalja Kobryńska.

Pani Kobryńska należy do osób — wyjątkowych w każdem społeczeństwie, a cóż dopiero u nas — którym wielki zapas energji, dobrej woli, inicjatywy, pozwala rozwijać działalność nader wszechstronną. Jakoż widzimy ją, jak się krząta gorliwie i z zapałem koło rozbudzenia ruchu wśród Rusinek. „Wieniec niewieści“, zbiorowa książka, na którą się złożyły utwory dwudziestu kilku autorek z Galicji i Ukrainy, — Czytelnia ruska dla kobiet, — petycja, pokryta tysięcznemi podpisami do Rady państwa o gimnazjum dla dziewcząt, — stowarzyszenia i wiece, — oto najgłośniejsze objawy tego ruchu na zewnątrz. Świadczą one, że chęci i zamiary krystalizowały się stopniowo w czyn!

Obok tej pracy społecznej, mającej potrosze charakter agitacyjny, p. Kobryńska nie zaniedbuje pióra. Pisze, śmiałe podnosząc hasła, wyczerpujące artykuły o kwestji kobiecej**), zasila czasopisma postępowe nowelami i szkicami powieściowemi, których część wyszła przed dwoma laty w osobnym zbiorze, — zajmuje się gorliwie folklorystyką.

Owocem badań folklorystycznych Szanownej Autorki, są i wyżej wspomniane „Wieszczki“ — „Sudilnici“.

Opowiadania, w tej książeczce zawarte, opierają się na fatalistycznem wierzeniu ludu ruskiego, że człowiek nie może ominąć, ani zmienić swej doli, że, owszem, całe jego życie zależy od tego, czy przyszedł na świat w dobrą lub złą godzinę, a los późniejszy przepowiadają mu w chwili urodzenia wieszcze ptaki.

W pierwszym szkicu, dziecko rodzi się w taką godzinę, że w siódmym roku życia musi umrzeć śmiercią gwałtowną. Ptaki przepowiadają ów smutny koniec w nadzwyczaj oryginalnej ze sobą rozmowie, więc rodzice czynią nadludzkie wysiłki dla odwrócenia zła, nic to jednak nie pomaga, bo taka już padła mu dola nieszczęsna...

W drugiem z kolei opowiadaniu, urlopnik, wracający do domu, nocuje w chacie, gdzie rodzi się właśnie dziewczynka i słyszy przy księżycu rozmowę ptaków, które przepowiadają, że to będzie jego żona. Uniesiony gniewem i wstrętem do małej płaksy, żołnierz wbija ją na ostry kół w płocie i ucieka. Ale w szesnaście lat później ognista kometa zapowiada wojnę, a żołnierz, wracając z niej, wstępuje do tej samej chaty, spotyka tu cudną, jako leluja, dziewczynę, gorzeje ku niej miłością i zaręcza się z czarnobrewą.

---

*) Pierwotny tytuł zmieniony następnie przez Autorkę, brzmiał: „Wid'ma“ — „Wiedźma“.

**) Do najlepszych — ze znanych mi prac Szanownej Autorki w tym kierunku — należy „Odpowiedź“ na zarzuty, które posypały się ze strony prasy konserwatywnej na „Wieniec Niewieści“. „Odpowiedź“ wyszła też w osobnej broszurze.

Była to ta sama płaksa, którą chciał niegdyś zamordować, a której na szczęście, jeno pieluszki przebił...

W trzeciem... Ale tę trzecią opowieść wolę podać w streszczonym przekładzie, aby zapoznać czytelników „Tygodnia“ ze sposobem pisania p. Natalji Kobryńskiej, o ile — ma się rozumieć - tłumaczenie potrafi zachować wdzięk i świeżość oryginału.

Oto ów szkic:

„Zima. Siwa, stara babuleńka tuli się w ubogiej chatce, na skraju wioski położonej. Tuli się babuleńka, ale mróz nie żartuje, a tu ani czem w piecu zapalić, ani co do ust wziąść dla rozgrzewki. Ha, trudna rada: trza iść między ludzi!

„Zaodziała się, jak mogła najlepiej, wzięła kostur w rękę i pociapkała przez wieś. Nie brakło tu ludzi dobrych, co pamiętali o babuleńce, ona jednak najlepiej zaglądać lubiła do córki po niebożyczce swej siostrze, młodej, bogatej, ale bezdzietnej gaździnki. Ta zawżdy, bywało, wetknie jej coś-niecoś w rękę i zawżdy prosi, aby babuleńka wybłagała dla niej u Boga, choćby jednojedyne dzieciątko“...

Marzenia młodej gaździnki miały się spełnić nareszcie, a siwa babcia przyszła onego dnia tak bardzo w porę, że i na noc u niej została...

„Późno. Ale staruszka nie śpi i siedząc w kąciku, modli się szczerze, prosi Boga o zdrowie dla matki i dzieciąteczka...

„Na dworze jasno, jako i w dzień biały. Miesiączek kroczy poważnie między rojem gwiazd, a te się wdzięczą do niego, niby dziewczęta do młodzianka. A ziemia skrzy się tysiącami iskier, jako mereżka w cudne kółka i gwiazdy zahaftowana.

„Wtem coś zaszeleściało, jakby śnieg zsuwał się z dachu. Babusia patrzy, a tu nadlatują dwa białe ptaki o skrzydłach, srebrem bramowanych.

— No — i jakoż? Urodziło się już? — pyta jeden z białych ptaków, takowym głosem, jakby wietrzyk przewiał.

— W tej właśnie chwili...

— A jakaż to ninie godzina?

— Zła godzina. Lepiej by było onym biedakom nie mieć wcale dzieci, bo to maleństwo, to ich śmierć.

„Zanim babuleńka wybiegła z chaty, ptaków już nie było na dworze.

„Staruszce serce pękało z żalu, gdy widziała uciechę rodziców. Długo wahała się, czy ma im powiedzieć o tem, co słyszała, czy nie?

„A gdy powiedziała, radość ich zgasła odrazu“.

Chłopak rośnie na podziw piękny, mądry i dobry. W szkole pierwszy, do roboty każdej sposobny, dla rodziców wylany. Dziwi go tylko ich smutek. Dopytuje o przyczynę — nadaremnie! Aż pewnego razu, gdy był dorosłym już parobczakiem, matka, nie mogąc się oprzeć naleganiom jedynaka, powiedziała mu o proroctwie wieszczych ptaków. Wtedy ów, przerażony ciążącą nad nim klątwą, pożegnał rodziców i puścił się w świat szeroki.

We świecie działo mu się dość dobrze: doszedł do pewnej zamożności, — ożenił się.

Owóż pewnego razu, gdy, jako strzelec, wydalił się na czas dłuższy z domu, żona napisała w jego imieniu do rodziców, opowiedziała w liście, jak dobrze im się powodzi, jak są szczęśliwi ze sobą i zaprosiła ich w gościnę.

„Rodzice, jako to zwyczajnie rodzice, uradowali się okrutnie, zapomnieli o wszystkiem, i do syna w drogę się wnet wybrali.

„Przyjeżdżają, — synowa wita ich sama, do nóg im pada, całuje po rękach, czem ino może ugaszcza i raz wraz wybiega przed chatę, aby zobaczyć, czy mąż nie wraca. A w sercu dość nacieszyć się nie może na myśl, jak miłą zastanie w domu niespodziankę. Uczyniła się nareszcie noc, a męża wciąż niema i niema. Więc ułożyła do snu rodziców na małżeńskiem swojem łożu, a sama cofnęła się do drugiej izby.

„W nocy: stuk! stuk! - wraca gazda, ale żona śpi snem kamiennym i nic a nic nie słyszy. Zaspana służąca drzwi mu otwiera. On, nie pytając, wchodzi do izby. – Miesiączek świeci w okno... Gazda poziera i widzi, że obok jego kobiety śpi ktoś obcy... Krew zastygła mu w żyłach, zazdrość, jak gadzina, owinęła się wokoło serca. Pochwycił strzelbę drżącemi rękami i dał ognia — naj pierw do mężczyzny, potem do śpiącej kobiety.

„Na huk wystrzału żona wpadła do izby i załamała ręce.

— Coś uczynił? — zawołała przeraźliwym głosem — Wszak to był twój ojciec i — matka twoja...

„Strzelec padł na stołek, niby kosą podcięty.— W taką urodził się godzinę, że miał być mordercą tych, co mu życie dali i tak się też stało.

M. W.

---

8)

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Pewnego dnia...

A późnym wieczorem, bo już przed samą północą, powrócili robotnicy! Powrócili, jak burza wiosenna, pełni wesela i uciechy i napełnili izdebki gwarem radości. Szczęście biło im z opalonych twarzy. Pokładli się zaraz, ale gadali długo, wspominali, śmieli się. Adam miał spuchniętą twarz, nic to jednak, to tylko w karczmie na zabawie trochę się pobił, musiał przecież się

„pobarować“... Hej! hej! jeszcze siły ma, jeszcze go ta Łódź nie zżarła! Niech tylko powróci do ojców, posiedzi ze dwie niedziele, to zobaczą...

— Spalibyście! Pyskują i pyskują, a człowiek usnąć nie może — huknął na nich pan Pliszka i ostro zatrzasnął drzwi. — Co go to obchodziło?

— Sprali mu pysk, a to bydlę jeszcze się cieszy. — Chamy! chamy! parobosy! Zobaczyli krowie ogony i cieszą się — myślał pan Pliszka z taką wścieklizną, że chciało mu się sprać Kruczka, ale nie sprał — siedział do świtu na łóżku i odmawiał różaniec żarliwie i z uporem odpędzał od siebie tęsknotę, ból, niepokój, mękę, jaką mu sprawiło to przypomnienie wsi.

— Żeby to najjaśniejsze spaliły! Człowiek pracuje, jak wół, a jeszcze spokoju nie ma! — Zaklął rano, ale sam nie wiedział, pod jakim adresem.

Tylko jakby się mścił na windzie, bo tak przystawał ostro, że uderzała z jękiem o progi pięter.

Nie chciał ich pytać o nic. Ale gdy spotkał raz i drugi, nie wytrzymał i rzucił szorstko i lękliwie.

— Cóż, trafiliście do domu?

Spojrzeli zdumieni — jakżeby można nie trafić do domu?

— Prawda, przecież to zaraz ze szosy na lewo, między topolami..

— Topole — oho! — już je dawno dziedzic wyciąć kazali...

— Niema topoli — jęknęło mu serce i mówił spieszniej...

— ...a potem koło kapliczki cmentarz —

— Kapliczki? — jeszczem bydło pasał, jak ją rozerwali..

— .. a potem przez groblę koło karczmy i już wieś..

— A juści! ino, że ani grobli, ani karczmy już niema...

Nie pytał się już więcej.

Topole, kapliczka, karczma, grobla... niema, dla czego niema?...

— Niema... są, pamięta dobrze, widzi teraz. — Nie...

I cały tydzień, cały długi tydzień nie mówił z nimi, nie pytał, a tylko żył przypominaniem sobie topoli, karczmy, grobli, kapliczki.

Dopiero w sobotę po robocie przysiadł się do nich i zapytał:

— Dobrze wam było?

— O Jezu, ino do świętego Jana robił będę, a potem, to niech ta morówka weźmie to miasteczko Łódź i te fabryki! — wykrzyknął Józef.

Pan Pliszka uśmiechnął się z politowaniem.

— Komornik na wsi, to większy pan na codzień, niżli człowiek fabryczny w niedzielę.

— Głupstwa pleciecie, Adamie, — powiedział pan Pliszka, ale mimo to przyniósł wódki, częstował ich, i zmuszał do opowiadania o każdej drodze, o każdem drzewie, o polach, o lasach — o wszystkiem... I tak się zapalał, tak się interesował tem życiem wsi, że Adam mu rzekł w końcu:

— Abo to pan Pliszka nie może rzucić fabryki! Kupicie sobie gruntu między swojemi i gospodarzem będziecie, a nie takim parobkiem przy fabryce, jak my wszystkie.

Pan Pliszka zirytował się tym projektem tak silnie, że nawymyślał im od głupich chamów i poszedł spać.

Obudził się w nocy, usiadł na łóżku i myślał.

— Wrócić, abo co! A może tam kto z moich żyje jeszcze?

Nie spał już tej nocy pan Pliszka, nie spał i nocy następnych... A dni przechodziły nieubłaganą koleją i przepadały nieubłaganie.

...były wiosenne, rozśpiewane, przesłonecznione, czarowne.

Pan Pliszka płakał w męce.

...były zadeszczone, stare, smutne, długie, jak żal...

Pan Pliszka płakał z tęsknoty.

...były zimne, zmęczone i smutne, jak maszyny spracowane.

Pan Pliszka! Ach, pan Pliszka się modlił...

...A noce były, jak krzyki tęsknoty.

...A wieczory były, jak ciężkie marzenia konających.

...A poranki przychodziły ciche, łzawe, zrozpaczone — a pan Pliszka już nie płakał, już się nie modlił, tylko patrzał w świat, — tam!

Ale pan Pliszka odejść nie mógł, bał się fabryki!...

Nie mógł się na nic zdecydować, nie śmiał, a przytem trzymał go jeszcze dziwny lęk.

— Cóżbym tam robił? — Zapytywał siebie po tysiąc razy, i coraz częściej widziano go zapatrzonym w pole i niebo, ale i coraz częściej nocami siadał przed domem i patrzył przed fabrykę, na ciemne kontury murów, co jak zmora dusząca przywarły do ziemi, objęły sobą i ssały nieubłaganie; coraz częściej pan Pliszka czuł w sobie ruch i tych sal nieskończonych, ten zgiełk maszyn, te wiry sił, i coraz słabszym się czuł, coraz niedołężniejszym, coraz pokorniejszym wzrokiem patrzył na żelazne profile... coraz pokorniejszym... aż pewnej niedzieli, po całych tygodniach tej męki niewypowiedzianej, gwizdnął na psa i poszedł za miasto, daleko, daleko w pola czyste... tam, gdzie już nie było fabryk, a tylko dachy słomianych domów wychylały się ze zbóż wykłoszonych, gdzie drzewa nie konały zatrute odpływami fabryk, gdzie zboża, jak woda, falowały w blaskach słońca, tam, gdzie łany niby barchan zielony, nakrapiany żółtemi ognikami, rozlewały się jak morze, gdzie wiatr pieszczotliwy, miękki gził się swawolnie i targał zielone brody wierzb pochylonych i rozdmuchiwał przekornie czuprynę płowego żyta — tam, na wieś prawdziwą... Pan Pliszka się cofnął, uderzył go niemile wiatr, powrócił do jakiegoś podmiejskiego szynku, wypił kieliszek wódki, posiedział i poszedł znowu w pole...

Nie krzyczał już pan Pliszka na Kruczka, nie zabraniał mu szaleć, nie czuł już pogardy do

ludzi, łażących po miedzach i dróżkach... przeniknęła go głęboka cisza majowego popołudnia.

Usiadł nad jakimś rowem, pełnym wody, po której skakały żaby, pełnym żółtych kwiatów, pełnym traw i krzaków olszyn, pełnym robaków, pełzających po liściach i ziemi, pełnym dziwnego, cudownego życia!...

Pan Pliszka zdjął czapkę, było mu bardzo gorąco.

Skowronki, jakby pijane wiosną, śpiewały nad nim, a tam w puszczach żytnich ćwierkały kuropatwy, zwoływały się, — woda tak dziwnie, tak słodko szumiała. Słońce przypiekało, aż żaby wychylały swoje okrągłe oczy z pod wody i nukały głucho, monotonnie.. sennie... a ze wszystkich stron płynął szum, chrzęst; płynęła słodka muzyka chrząszczyków, przepiórek, płynęły ciepłe, upajające zapachy macierzanki, zapachy ziemi rozgrzanej, zapachy złotego słońca...

Panu Pilszce zaczęło się w głowie kręcić.

Ale siedział i patrzył, i słuchał i czuł, i brał coraz potężniej w siebie emanacje tej wiosny i tych pól.

(Dokończenie nastąpi).

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XXVI.

W chmurne i burzliwe popołudnie połowy lutego 1695 r. strażnik więzienny wprowadził Jana Kozinę do celi chorego Krzysztofa Hrubego.

Stary góral, który ubiegłej jeszcze wiosny wyrażał w rozmowie z doktorem nadzieję, że rychła śmierć położy kres jego cierpieniom, trawił drugą już zimę w więzieniu. Choroba jednak i cierpienia moralne zmieniły go tak bardzo, że Jan, który go nie widział od wyroku sądu apelacyjnego, nie mógł go prawie poznać w pierwszej chwili.

— I tyś się zmienił, drogi chłopcze, no, ale nie tak bardzo, jak ja — mówił chory, nie odrywając oczu od bladej, wynędzniałej twarzy siostrzeńca. Był widocznie rad z odwiedzin, o które prosił już razy tyle, a zawsze nadaremnie. Ucieszył się jednak bardziej jeszcze, gdy strażnik oświadczył, że młody więzień pozostanie z nim na stałe.

Jakoż straż odeszła, drzwi się zatrzasnęły z łoskotem, klucz zgrzytnął w zamku i Chodowie pozostali sami. Kozina usiadł na łożu wuja. Szare światło zimowe, przeciskając się przez zakratowane okienko, padało na jego biały żupan chodzki, zniszczony i wytarty, nie pozbawiony jednak ozdoby. Na pierś młodego Choda spływały dotąd z dziurki od guzika czerwone szarfy, dar niegdyś Hanki, pamiątka szczęśliwego dnia ślubu...

Rozmowa, po pierwszych zaraz pytaniach o zdrowie, potrąciła o to, co najbardziej zaprzątało myśl obu Chodów, — o wyrok sądu kryminalnego. Hrubemu, który oddawna już nie mógł się dźwignąć z łoża boleści, odczytano dziś właśnie w celi, że Ecl z Kleńcza, on, Krzystof Hruby, i Kozina skazani zostali, jako główni przywódcy buntu, na szubienicę, — Syka zaś, Pajdar i Brychta mieli przez pewien czas stać po dwie godziny dziennie pod pręgierzem, a potem pójść na wygnanie. Innych wyroków, o było mnóstwo, starzec nie pamiętał, wiedział jeno tyle, że niektórych skazano na dwa lata, na rok i na trzy miesiące ciężkiego więzienia.

Jan słuchał cichych słów chorego z pochyloną na piersi głową, dopiero gdy ów skończył mówić, podniósł twarz pobladłą i jakby otrząsając się z zamyślenia, odrzekł spokojnie:

— Hej, stryku, i nam czytali to samo...

— A no, widzisz, miły chłopcze, telo nam dali za nasze prawa: stryczek w zamian za pergamina... Ale to jeno Lomikar radby był nas ubić; w Wiedniu tego tak nie ostawią.. Nie mogą!... Dyć my nijakiej zbrodni nie popełnili...

Kozina potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Lomikar nie odstąpi od swego... Znam go. O miły stryku, my do domu nie wrócimy już nigdy...

— Ja nie, ale ty wrócisz... Nie trap się. Nie mogłoby ani być inaczej... Masz żonę, dzieci...

Młody góral poruszył się niespokojnie. Słowa starca dotknęły żywej rany w jego sercu. Nie mógł stłumić westchnienia.

— To najgorsza, stryku. Hanka, dzieci, — moje dzieci!... Myślę o nich wciąż. Gdyby ich nie było! Nie przerażałaby mię wówczas śmierć... Nie trapiłbym się, nie prosił...

— Miałżebyś zamiar prosić?. Lomikara?...

— O nie, stryku, nigdy, choć bym już stał naprawdę pod szubienicą!..

Umilkli obaj, a gdy zaczęli znowu rozmawiać, ani jednem już słowem nie potrącili o wyrok krwawy. O stronach rodzinnych opowiadali sobie wzajemnie, o pięknym kraju chodzkim, o krewnych, przyjaciołach. Smutne było to ich spotkanie, po długiej jednak samotności sprawiało im ulgę niewypowiedzianą.

Stary wójt nie obawiał się śmierci. Mówił o niej często i oczekiwał jej przyjścia ze spokojem. Na trzeci dzień po połączeniu się z Janem poprosił o księdza. A gdy ów zaopatrzył go w sakramenta na drogę wieczności, chory prosił, by raczył napisać w jego imieniu list pożegnalny do rodziny. Kapłan spełnił chętnie jego wolę, która nie stała w sprzeczności z prawem więziennem, a Kozina radował się, że tym sposobem i on będzie mógł przesłać ukochanym słówko wieści o sobie.

Sędziwy, dobroduszny ksiądz, jął — przed opuszczeniem celi więziennej pocieszać Hrubego, – przekonywać, aby się nie obawiał śmierci, bo może jeszcze wrócić do sił, ozdrowieć...

Ale chory nie dał mu nawet dokończyć.

— Dyć i oni, ci panowie, wiedzą, że przyszedł już na mnie koniec i temu dali mi tego chłopca.

Po odejściu księdza, Hruby zwrócił mdlejące spojrzenie na Jana i mówił głosem cichym:

– Gdybych wiedział, że ty przynajmniej ujdziesz śmierci, byłoby mi lżej umierać... Teraz czuję jakoby kamień młyński na piersi...

Zapatrzył się w przestrzeń, przed siebie, a po chwili ciągnął dalej:

— Gdyby zaś taka już była wola boska, gdyby ci padła śmierć na szubienicy, pamiętaj, Janku, nie proś łaski...

— Nie będę, stryku — powiedziałech już, jako nie będę.

-- Nie poradziliśmy dawnych praw odzyskać, ale przecie śmierć nasza nie będzie daremna — zaczął chory, któremu oczy poczęły nagle świecić się i palić. Gdyby hań w górach nascy ludzie nawet odwołali i podpisali, a jeno my nie, to i tak prawo nasze nie będzie stracone. Ci, co po nas przyjdą, będą mogli znowu się upomnieć, gdy sposobniejsza ku temu wybije godzina.

Umilkł, wyczerpany — i splótł ręce na piersiach, jak do modlitwy. Koło południa ogarnął go sen, potem znowu się modlił i rozmawiał cichym, urywanym głosem. Stęskniona jego myśl wracała wciąż ku chodzkiej krainie, mówił o najbliższych sobie, ubolewał, że kości jego nie spoczną w ziemi rodzinnej. Aż nagle wyciągnął obie ręce do Koziny.

— Janku, zaklinam cię na Boga, po raz pierwszy, drugi i trzeci, przebacz mi! — tybyś prawdopodobnie tu nie był, gdyby nie ja.. Przebacz..

Młody Chod ujął szczerym uściskiem stygnące ręce chorego.

– Byłbych, stryku, byłbych z pewnością — mówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Nie zawiniliście niczem wobec mnie.

Gdy zmrok wieczorny poczynał zalegać już celę, ozwał się znowu słaby głos starca:

— Modlę się wciąż i błagam Boga, aby się raczył ulitować nad naskimi ludźmi hań w górach, a najbardziej nad tobą, Janku — aby cię ustrzegł od śmierci niewinnej... I dufam, gorąco dufam w sprawiedliwość bożą...

Przez całą noc następną Kozina ani oka nie zmrużył, czując zbliżającą się śmierć. Chory zachowywał do ostatniej chwili zupełną przytomność umysłu. Nad ranem, gdy kaganek, pozostawiony z litości przez strażnika, poczynał dogasać, zwrócił się do siostrzeńca z prośbą, aby ów modlił się głośno. Kozina ukląkł przy łożu więziennem i odmawiał modlitwy, jedną po drugiej, nie spuszczając oczu z twarzy wuja. Nagle słowa zamarły mu na ustach... Chory wyciągnął ramiona konwulsyjnym ruchem, odrzucił w tył głowę, a lica jego śmiertelną okryły się bladością...

Brzask dzienny poczynał srebrzyć smutną celę więzienną, gdy ozwał się w niej gwałtowny płacz męski. Strażnik atoli, który przyniósł śniadanie dla obu więźniów, nie widział już łez na twarzy Jana. Młody góral siedział przy trupie z załamanemi rękami, blady i nieruchomy, jak posąg — i modlił się za duszę wuja, która do wolnej odleciała krainy...

Gdy zabierano od niego trupa, Jan prosił, aby wolno mu było odprowadzić drogie zwłoki na miejsce ostatniego spoczynku. Władza więzienna nie uwzględniła jego prośby, oświadczyła jednak, że pogrzeb odbędzie się nazajutrz po południu i czyniąc zadość drugiemu żądaniu więźnia, pozostawiła go nadal w celi, w której Krzysztof Hruby zakończył życie.

W pierwszych dwóch dniach wszystkie myśli Koziny pochłaniała świeża, bolesna katastrofa. Rozważał ze smutkiem, g d z i e dokonał zasłużonego żywota najznakomitszy z wójtów chodzkich i w j a k i e j ziemi spoczną śmiertelne jego szczątki. O, nie taki miałby pogrzeb, gdyby zamknął był powieki u siebie, w domu, w cudnych górach rodzinnych! Przez wszystkie trzy dni rozlegałby się płacz i narzekanie synów, domowników, czeladzi; przez trzy dni wypominanoby wszelkie dobro, które zmarły czynił za życia, mówionoby o jego przywiązaniu do rodziny i czeladzi, o jego mądrości, szczodrobliwości, chętnem dla wszystkich sercu... Tu, z tej trupiarni więziennej, wyniosą go na drugi zaraz dzień. Trzej starzy śpiewacy górscy nie przyjdą nucić nad trumną otwartą hymnów żałośnych o rozłączeniu duszy z ciałem — sąsiedzi nie pójdą za ciałem. Nie odprowadzi go też nikt z rodziny, nawet dzwony nie jękną mu na pożegnanie.. Gdyby on przynajmniej mógł widzieć nieszczęsne miejsce ostatniego spoczynku i zapamiętać... Zapamiętać?... On?! Alboż wróci kiedy, aby mógł doma powiedzieć?...

Kozina zadrżał mimowoli.

Przez całe popołudnie tego dnia, w którym miał się odbyć pogrzeb, modlił się gorąco za duszę wuja. Lecz i najgorliwszą modlitwę przerywały bolesne myśli. Jak smutno umrzeć tak na obczyźnie, w więzieniu!

(C. d. n.)

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Codziennie wołał Żmudzin, upadłszy na kolana, do Pana na Niebiosach:

„Za śmierć męczeńską Zygmunta, powieszonego w Wilnie,
Ukarz ich Panie".

Zaś setki głosów współwięźniów wtórowały mu z zapałem: „Ukarz ich Panie".

„Za morderstwa, dokonane na kobietach i niemowlętach [litewskich,
Ukarz ich Panie".
„Za zniszczone pola i spalone sioła,
Ukarz ich Panie".
„Za męczonych w niewoli i mordowawnych w boju,
Ukarz ich Panie".
„Za zrabowane kościoły, powalone krzyże,
Ukarz ich Panie" (*)

Najłagodniejsze, jak widzimy, dusze, a wszakże pałały one nienawiścią ku tyranom i słuszną ona była, zaiste. O! bo wszędzie, gdzie panuje despotyzm, tam musi się z konieczności wytwarzać nienawiść, przechodząca następnie w obłęd, zatruwający życie jednostek, a nawet i społeczeństw całych. Przykłady takie, znane są w historji powszechnej; ich tu przytaczać niema potrzeby. Przywiodę tylko przykład jeden, datujący z czasów, kiedym był jeszcze słuchaczem na uniwersytecie w Berlinie, może on służyć za dowód, że nietylko ziomkowie nasi podlegali chorobie rzeczonej. Manja nienawiści dotyczyła tutaj w przykładzie, o którym mowa, człowieka najszlachetniejszego w świecie, patrjoty, sławnego męczennika w dziejach Słowian południowych mianowicie Kurylaca. W życiu codziennem był on łagodny, przyjacielski, altruista, a jednak cierpienia moralne, doświadczone w więzieniach ówczesnej Austrji, natchnęły go taką nienawiścią do Niemców, że wpadł w obłęd, towarzyszący mu aż do grobu.

Gdym wspólnie z prof. Grube'm odbywał wycieczkę naukową przez Triest, Fiumę czyli Riekę, Porto-re, na wyspę Cherso, przypadek nadarzył, żem się w okolicy Fiumy spotkał z Kurylacem, zaszedłszy do mieszkania jednego z wieśniaków okolicznych. Po akcencie mej mowy poznał, żem Polak, zaraz też się oświadczył z wielkiemi sympatjami dla nas uciemiężonych, łagodząc wszakże antypatję do despotyzmu rosyjskiego tym argumentem, że „znośniej jest cierpieć od swoich, niż od cudzych". Już przy pierwszem zaraz spotkaniu, gdyśmy wracali z nim pieszo do Fiumy, opowiedział mi Kurylac, że przebywał długo w więzieniach austrjackich, że był osądzony na szubienicę, przyczem z całą otwartością wyznał, że jest nieprzejednanym wrogiem Niemców. „Nienawiść moja", powiadał, „jest plemienną, ona stanowi czynnik niezmiernie ważny w życiu słowiańszczyzny, jest to cement, który spaja nas wszystkich w jedną rodzinę — nienawidzącą Niemców. Bez tego cementu rozpadlibyśmy się na atomy sobie wrogie. Bo co mamy np. wspólnego z Czechami, z tym narodem, jakim go widzimy w obecnej chwili — nic zgoła. Czesi, zapewniał, są to żydzi słowiańscy, dokąd mają interes własny, idą z nami razem, w przeciwnym wypadku opuszczają nas bez wyrzutu sumienia, oni przedali by nas wszystkich dla własnej korzyści, gdyby tylko mogli. Czesi, jako urzędnicy państwowi, są gorsi od samych austrjaków, a pomimo to łączy nas z nimi nienawiść wspólna. Ja im wszystko przebaczam za to, że umieją nienawidzieć Niemców". Nienawiść do Niemców była w owych czasach tak powszechną, że oświadczenia Kurylaca nie miały dla mnie nic nadzwyczajnego. My sami z prof. Grubem, wstępując do austerji na prowincji podczas wycieczek, albo w drodze, jadąc dyliżansem przez Monte Maggiore, mówiliśmy ze sobą po polsku, w obawie, ażeby język niemiecki nie naraził nas na nieprzyjemności ze strony obecnych mieszkańców okolicznych; wszelako nie domyślałem się jeszcze wtedy, że uczucie nienawiści stanowi objaw chorobliwy w duszy Kurylaca, aż wypadek następujący przekonał mię o tem. (C. d. n.)

*) W tej litanji były przytoczone wszystkie wsie spalone przez Moskali, wszystkie osoby zabite — te właśnie szczegóły były najciekawsze.

Z pism i książek.

Tygodnik Illustrowany zamieszcza w jednym z ostatnich numerów godny uwagi artykuł o Połądze,— o głośnej w dziejach Żmudzi Połądze, o której mówi nawet wajdelota z „Konrada Walenroda".

Autor artykułu, p. B. L. podnosi zalety Połągi, jako miejscowości leczniczej, a zwracając uwagę, że jest to jedyne dzisiaj uzdrowisko nadmorskie, pozostające w rękach polskich, zachęca do jej zwiedzania tych, co szukają naprawdę wytchnienia letniego i swobodnego obcowania z naturą.

O mało u nas znanej przyrodzie Żmudzi, nie nęcącej błyskotliwością, lecz pełnej powabu i surowego wdzięku, autor tak mówi:

„Żmudź jest pięknym, choć smutnym i tęsknym krajem, co tem więcej urok jej podnosi. Żmudź jak i Litwa wogóle, nęci swoim krajobrazem łagodnym i falistym, o zmiennej i dalekiej perspektywie. Trakt biegnie wśród panoramy. Falistość wywołuje nieustanną zmianę widoków, co chwila nowa otwiera się perspektywa na wzgórza, łąki, lasy, — jakaś tęskna melancholja rzuca swoje czary na wsi i kościoły, na ziemię i niebo. Trzeba walczyć z ciągłem pragnieniem zatrzymywania powozu i wchłaniania w siebie rozrzuconych tutaj hojną ręką czarów. To bynajmniej nie przesada. Porównywałem swoje wrażenia z wrażeniami wytrawnych turystów, którzy uważają niektóre części Żmudzi za jedną z piękniejszych okolic w Europie".

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.